

Adam Stanisław Barcikowski



KRÓTKA DESZCZOWA
Z M O R A

Adam Stanisław Barcikowski

**Krótką deszczowa
zmora**

© Copyright by Adam Barcikowski
Warszawa, wrzesień 2016
& e-bookowo

Projekt okładki Grzegorz Wojtasik

ISBN 978-83-7859-770-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2017

I.

Znów siedzę tu i patrzę na cudze życie. Patrzę na życie pływające za podwójnym szkłem po drugiej stronie ulicy. Ludzie przychodzą i odchodzą. Światła zapalają się i gasną – jak jakiś szalony kosmiczny spektakl migoczących gwiazd.

„A planety szaleją, szaleją...” słychać dźwięki z głośników radia w sąsiednim pokoju.

Kracze wrona, szczeka pies i brzęczy piekarnik...

– Cholera piekarnik! – krzyczy Jonasz potrącając w pośpiesznej drodze do kuchni kwiaty stojące w drzwiach. Delikatny siwy dym unosi się w pokoju jak gdyby nigdy nic i bezczelnie zajmuje swoją istotą zdecydowaną większość przestrzeni życiowej Jonasza.

„... się śmieją, się śmieją, się śmieją...” zawodzi radio. Dym tańczy i płąsa delikatnie do rytmu rocka z lat osiemdziesiątych.

– No to miałem świetny obiad na jutro. Indyk poszedł się paść – mamrocze pod nosem niedoszły posiadacz pieczonego indyka.

– Znowu trzeba będzie kupić jakieś badziewie u pana kanapki – dodał w duchu.

Jako przeciętny przedstawiciel trzydziestoparoletniej nowoczesnej klasy średniej, Jonasz jest szczęśliwy. Jest właścicielem pięknego hipotecznego mieszkania na Mokotowie, ma wspaniałe nowe BMW będące własnością firmy leasingowej, no i przede wszystkim ma wspaniałą pracę w renomowanej firmie doradczej, bez możliwości rozli-

czania nadgodzin. Doradza ludziom, którzy zmieniają świat w jaki sposób robić to jeszcze efektywniej, czyli zgarnąć jeszcze więcej dla siebie. Takie myśli towarzyszyły Jonaszowi w trakcie sprzątania mięsa, które nadawało się już co najwyżej do wystawienia w Centrum Sztuki Współczesnej.

Naturalnie Jonasz mieszkał sam. Oczywiście na co dzień, ponieważ w nocy jego apartament często był odwiedzany przez kobiety. Naturalnie przez kobiety. Nie dziewczyny, ani żony, ale właśnie przez kobiety i przede wszystkim dlatego przez nie.

Jonasz wrócił na balkon. Deszcz siąpił regularnie jak wentylator w łazience odmierzający kolejne sekundy życia. Myśli Jonasza pobiegły w kierunku ważnego projektu, który miał realizować, i w który był zaangażowany całym sercem. Z powodu tego zaangażowania, które młodzi z pokolenia „Y” nazywają poświęceniem, w domu był z reguły w nocy. Jonasz wkładał w pracę całe serce i...

– Trzeba to w końcu dopiąć – pomyślał siadając na kanapie i wracając do obserwacji życia toczącego się w bloku z wielkiej płyty wyrastającego z gruntu po drugiej stronie ulicy. Jonasz odruchowo spojrzął na telefon, który wyciągnął z kieszeni. Brak wiadomości. Niewątpliwie był człowiekiem pracy. To on i tacy jak on dokonali tego cudu, jakim była polska przemiana gospodarcza ostatnich dwudziestu pięciu lat. To ich poświęcenie legło u podstaw tej wieży Babel, którą nazywa się obecnie kapitalizmem.

Zaczynał padać deszcz. W trzecim oknie od prawej na siódmym piętrze w bloku naprzeciwko stała postać. Słychać było szum ulicy i pokasywanie zbląkanego przechodnia. Po-

kasływanie zmieniło się w astmatyczny kaszel, a postać wciąż stała w oknie. Uruchomił się alarm samochodu zaparkowanego gdzieś na sąsiednim osiedlu, a postać się poruszyła. Wtedy Jonasz dojrzał poprzez drobno siąpiący deszcz, że ta postać była wpatrzona w niego. Jednocześnie poczuł gwałtowny przypływ czegoś, co określiłby jako niepokój lub może strach, albo rezygnację i suchą rozpacz. Był to niepokój co do jutra i brak pewności czy po nocy ujrzy światło dnia. Jonasz nagle zwątpił czy pójdzie jutro do pracy, czy dokończy projekt. Poczuł rozpacz na myśl, że nigdy nie zobaczy już Magdy, która przychodziła do niego w każdy czwartek dokładnie o dwudziestej. Wyobraził sobie, że jego rodzice, wciąż zagubieni w drobnej wiosce w powiecie pińczowskim, nie zapytają go już więcej na święta „Synku! To co tam słyhać w wielkim świecie? Chińczyki trzymają się mocno?” Jonasz zamknął oczy i nagle oślepił go gwałtowny błysk i ogłuszył niespodziewany huk. Poczuł, że coś spada, że coś go przygniata do gruntu. Słyszał czyjś kaszel i czyjeś jęki. Dokoła widział tylko pył i oślepiające smugi światła. Nie mógł poruszyć ręką ani nogą, jakby został przyszpilony do ziemi jakimś gigantycznym spinaczem do papieru. Zaczynała ogarniać go panika, próbował się wyszarpnąć, wyskoczyć z tej klatki, która wciąż go trzymała przy posadzce. Po kilku minutach bezskutecznej walki o oswobodzenie kończyn z niewidzialnych kleszczy poczuł, że zaczyna brakować mu tchu. Z początku pomyślał, że się zmęczył i musi chwilę odpocząć. Jednak ze strachem zdał sobie sprawę, że wcale nie jest zmęczony. Jonasz poczuł, że się dusi. Łapał każdy kolejny oddech z zachłannością topielca. Coś naciskało mu pierś przez co nie był w stanie nabrać pełnego oddechu.

– Co jest do kurwy nędzy? – pomyślał Jonasz w ostatnim przy-
pływie świadomości nim ogarnęła go ciemność i głucha cisza.

Kiedy otworzył oczy szum miasta i chłód odchodzącej nocy
uderzyły w niego jak młot. Leżał na posadzce balkonu. Zaczy-
nało wschodzić słońce. Pierwsze poranne przebłyski odbijały się
w szybach bloku po drugiej stronie ulicy. Jonasz pomyślał, że
zaraz powinien zbierać się do pracy.

Po tej pierwszej myśli nadszedł znowu niepokój. Przypo-
mniał sobie jak zobaczył postać w oknie sąsiedniego bloku.
Przypomniał sobie straszne uczucie beznadziei i suchej,
czarnej rozpacz. Uczucie, które sprawiało, że miał wra-
żenie że nic nie pozostało, że może tylko skoczyć z balkonu
i zakończyć to raz na zawsze. Po co to kontynuować skoro
i tak nie będzie jutra. Jest tylko strach, cierpienie i brak na-
dziei. Płacz i zgrzytanie zębów. Jonasz zadrżał, wciąż leżąc na
zimnej posadzce.

Następnie wstał ciężko podpierając się rękami i wrócił do
pokoju. W środku wszystko było takie, jak je zostawił gdy
wieczorem po ciężkim dniu pracy wyszedł na balkon chwilę
odpocząć obserwując ludzi w akwarium. Na wprost drzwi na
balkon stała komoda z książkami. Głównie były to książki
ekonomiczne, jeszcze z czasów studiów, oraz skandynaw-
skie kryminały. Jonasz raczej nie miał nigdy czasu na czy-
tanie książek i też nigdy nie czuł szczególnej potrzeby, żeby
to robić, chyba że mógł mieć z tego jakąś korzyść. Po prawej
stronie pokoju stała kanapa w beżowym kolorze ze skórze-
nymi elementami tapicerki. Na kanapie leżała torba z kom-
puterem przenośnym i marynarka, tak jak je zostawił wie-
czorem.

Na jasnej podłodze z dębowego parkietu widniały zabłoczone i wciąż mokre ślady butów. Ślady prowadziły na balkon. Jonasz nie przejął się tym faktem. Złapał torbę z komputerem i marynarkę.

– Muszę jechać do pracy – pomyślał – Dobrze, że tak wcześnie wstałem, nadrobię trochę projekt. Jonasz skierował się prosto do przedpokoju i wyszedł z mieszkania. Wychodząc nawet nie zastanowił się nad tym dlaczego drzwi wejściowe do mieszkania są otwarte. W pokoju zapanował spokój. W powietrzu nie tańczył już siwy dym ani nie było słychać muzyki. Zapadła martwa cisza i bezruch. Na kanapie leżała ciemnogrnatowa marynarka oraz czarna skórzana torba na komputer przenośny.